

*Wszystko będzie, jak być powinno,
tak już jest urządzony świat.*
Michaił Bułhakow, *Mistrz i Małgorzata*

*...przeznaczenie, które mamy,
jest przeznaczeniem, którym jesteśmy.*
José Saramago, *Historia obłężenia Lizbony*

PROLOG

Notatka służbowa. Ścisłe tajne, specjalnego znaczenia:

„Dnia (zaczernione) roku (zaczernione) zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach profesor Subhas Ratna, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii. Inne nagrody, m.in.: Keio Medical Science Prize, International Brain Injury Association Prize, Nagroda imienia Alberta Bracheta Belgijskiej Akademii Królewskiej, Nagroda Fundacji Nauki i Techniki w Szanghaju. S. Ratna prowadził badania m.in. nad składnikami białek w sekwencjach DNA, nad mapą konektomu ludzkiej istoty białej w Human Connectome Project, prowadził studia nad chorobami Parkinsona i Alzheimerera oraz nad rozpadem sieci neuronalnej i dimetylotryptaminą (DMT). Według informacji źródłowej stwierdza się, że podane okoliczności śmierci (wypadek samochodowy) zostały sfingowane. Stwierdza się, że spalone zwłoki, a także skremowane i rozrzucone nad Gangesem szczątki nie są szczątkami ciała S. Ratny. Miejsce pobytu obiektu zainteresowania pozostaje nieznane”.

Podpis (nieczytelny). Stopień (zaczernione), funkcja (zaczernione). Biuro Badań Naukowych i nad Bronią, Centralna Agencja Wywiadowcza, Langley, data (zaczernione).

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Uważaj:

Główna ulica Faludży. Smród gnijących resztek, zapach kawy i kiepskiego kebabu. Tłum i bezpańskie psy. Z popękanych głośników rzezi arabski antyamerykański rap. Uroczy alians ofiar i katów. Zwykły dzień okupowanego miasta. Jest ranek 31 marca 2004 roku. Jerry Milovich i Wes Catalona, żołnierze firmy ochroniarskiej Silver-spring – nazywajmy rzeczy po imieniu – najemnicy prywatnej armii, jadą na czele konwoju przed trzema ciężarówkami. Na pakach żarcie dla amerykańskich chłopców i dziewcząt, którzy dzielnie walczą dla arabusów o demokrację, dobrobyt i co tam jeszcze. Selvenston i Beague zabezpieczają tyły. Po prawej ręce – sklepy i bazar. Po lewej – niezbyt zachęcająca otwarta przestrzeń. Przez głowę Milovicha przelatuje myśl: *Fuck*, coś nie tak. Intuicja Jerry’ego jest podparta niezłym doświadczeniem. Jerry Milovich: z pochodzenia Chorwat, w rangersach od 1994, odkomenderowany do wojny na Bałkanach, zdolny skurwieli od zadań specjalnych. 1997 – odchodzi z wojska. 1998 – służy w jednej z lepszych firm ochroniarskich, szwenda się po krajach Zatoki Perskiej. Skróćmy życiorys: w końcu w Silverspring. Rysopis: dobrze ponad 195 centymetrów, 110 kilo, oczy piwne, włosy ciemne, przystrzyżone, brak paliczka najmniejszego palca u lewej ręki, okulary polaryzacyjne. Opis reszty chłopaków darujmy sobie, bo i tak za chwilę będzie to zbędne. Poza tym tylko Jerry’emu Milovichowi przeleciało przez myśl, że coś tu nie gra. Faktycznie.

Konwój zatrzymuje się w korku. Do pierwszego pojazdu podchodzi pięciu irackich gówniarzy. Gadu-gadu. Ci z tyłu, Selvenston i Beague, słyszą terkot karabinu maszynowego. Seria pocisków przesywa bok łazika. Trach, trach, trach, trach! Jerry Milovich przeklina swoją pieprzoną intuicję. Wpadli w pułapkę. Ostatnią rzeczą, jaką Scott Selvenston zobaczył na tym bożym świecie, była banda arabusów, która wskakiwała na maskę pajero. Ostatnie słowa, jakie usłyszał w swoim życiu, to *Allahu akbar*. Potem trysnął krwią z ust i skonał. Gdy jego trup bezładnie leży i krwawi, gdy jedna grupa mężczyzn z wyciem i Allahem na ustach wskakuje do jeepa, a druga przez przednią szybę posyła serie i dziurawi na sito Mike’a Beague’a, gdy tłum z okolicznych bazarów i knajp z kebabem przyłącza się do rzezi, obstawiający

czoło konwoju Wes Catalona depta z całych sił pedał gazu i wbija się w barierę dzielącą pasy ruchu, by spieprzać w cholere. Nic z tego. Zostaje wywleczony z samochodu, obrzucony cegłami, kamieniami, opluty. Klęka i błaga o życie. On, czterdziestoosmioletni doświadczony najemnik w nonszalanckiej hawajskiej koszuli. Błagania i prośby można sobie wetknąć gdzieś. Tłum kopie i skacze po studwudziestokilogramowym ciecie, gruchocząc kości i czaszkę. Życie wypływa przez uszy Wesa razem z mózgiem i krwią. Milovich ma głowę rozprutą kulą kaliber 7,62 milimetra. Tłuszcza rozrywa na strzępy terenówkę pajero. Pojawia się jakiś szczyl z kanistrem benzyny. Wszystko staje w płomieniach. Wyją ludzie, wyją klaksony. *Allahu akbar!* Bóg jest wielki.

Całą tę scenę ktoś filmuje. Kobieta nazywa się Jane Rowlands, ma na sobie kuloodporną kamizelkę z napisem „press”. Nie widać, jakie ma włosy, zasłania je obtłuczony hełm. Oczy wbite w wizjer kamery, też niewidoczne. Po kilku minutach tłum rozrasta się do trzystu osób. Motłoch wywleka spalone zwłoki, kończy na po kończynie rozrywa je na strzępy. Saperki i motyki przydają się do ćwiartowania ciał. Jeden z gnojków, którzy na początku zasadzki ucieli sobie pogawędkę z Milovichem, teraz kopie jego głowę, aż ta w końcu odpadnie od korpusu. Przed obiektyw Jane Rowlands ktoś wystawił znak trupiej czaszki. Wrzaski. Tłuszcza przywiązuje ciała do granatowego opla sedana. Włoką je wzdłuż Eufratu. Innego trupa ciągną za samochodem ozdobionym portretem szejka Jassina, przywódcy Hamasu. Szczyl o ciemnej karnacji, ale wyjątkowo jasnoblękitnych oczach, drugi z tych, którzy zagadali do chłopaków z przodu konwoju, przywiązuje cegłę do prawej nogi Mike’a i rzuca ją przez druty linii wysokiego napięcia. Szpica tłumu jest już na moście. Trupy razem z nimi. Po chwili nad Eufratem zawisają zmasakrowane i zwęglone szczątki Selvenstona i Beague’a. Obraz jak z Goi. Będą wisieć nad lustrem rzeki przez dziesięć godzin. Potem zostaną odcięte, rzucone na stos zrobiony z dziurawych opon i podpalone. Gdy w końcu ogień i dym przestaną się tlić, ktoś przyczepi zwłoki do wózka ciągniętego przez osła i taki oto karawan powędruje przez Faludę. Trupy spoczną przed budynkiem władz okupacyjnych.

Wszystko to zostanie skrzętnie zanotowane przez kamerę marki Sony, własność stacji Rex News, której współpracowniczką jest poznaną już przez nas przelotnie Jane Rowlands. Bardziej i mniej smaczne kawałki tego materiału obiegają świat.

Zapamiętajcie ich, bo warci tego: Jerry Milovich. Wes Catalona, były ranger, misja w Panamie, Somalia. Mike Beague, 160. Pułk Lotnictwa Operacji Specjalnych, Panama, Grenada, Brązowa Gwiazda za

Afganistan. Scott Selvenston, były komandos Navy SEAL. Tylko czterech chłopaków wysłanych z misją na terytorium wroga, bez odpowiedniego rozpoznania, a nawet bez odpowiedniej mapy to nie błąd, to skurwysyństwo, które zamieniło ludzi w magnesy przyciągające kule.

Potem:

Skręcone kamerą Jane Rowlands obrazki masakry i zwęglonych ciał wiszących nad Eufratem obiegały cały świat. Nie było natychmiastowego odzewu, bo Silverspring to nie amerykańska, lecz prywatna armia. Ale już po paru dniach materiał reporterki zrobił swoje. Pospała się lawina. Prezydent George Bush: „Iż zgraja zabójców chce zachwiać naszą wolą. Ameryka nigdy nie da się zastraszyć bandytom i zamachowcom. Przypuszczamy agresywny szturm na terrorystów w Iraku”. „Chicago Tribune”: „Tłum Irakijczyków bezcześci zwłoki czterech amerykańskich cywilów”. „Washington Post”: „Amerykańscy cywile rozszarpani podczas irackiego ataku”. „Miami Herald”: „Amerykanie zbezczeszczeni”.

Po machinie słów i obrazków ruszyła machina czynów. Dostępnym się. Trzeba rozpieprzyć rebelię. Na pierwszy ogień poszedł szycki Nadżaf, gdzie „czarnuchów” żądni słusznej zemsty chłopcy z Silverspring potraktowali jak kaczki. Czwartego kwietnia ponad tysięczna armia marines i dwa bataliony irackie otoczyły trzystąpięcdziesięcioletnią Faludżę. Trzy dni później helikopter AH-1W Cobra zawisnął nad meczetem Abdel-Aziz al-Samarrai, który był kryjówką zbuntowanych arabusów. Śmigłowiec posłał w świątynię rakietę Hellfire. Krew, krzyk, wycie rannych. Musieli umrzeć w świętym miejscu, bo Amerykanie opanowali główny szpital. Nie będzie rannych, będą tylko martwi. Kiedy wściekli rebelianci ze swoimi kałachami wychynęli z meczetu jak szczury, przywitały ich kule, rechot i podkreścone na cały regulator w głośnikach *Welcome to the Jungle Guns'n'Roses* i *Hell's Bells AC/DC*. Było głośno i krwawo. Dla podgrzania atmosfery użyto białego fosforu, który przepalał skórę, mięso i kości. Dwa piłkarskie boiska zamieniono na cmentarze. Pochowano na nich nie tylko mężczyzn. Także kobiety, starców i dzieci. Sprawa została w miarę załatwiona. Co prawda rebelia nie ucichła, ale taktyka wojny została wreszcie zmieniona. Słowo „soft” zastąpiło ulubione określenie amerykańskiego administratora Iraku L. Paula Bremera: „stabilizacja”.

Jane Rowlands została złapana przez Al-Kaidę pod koniec kwietnia. Przetrzymano ją w zatęchłej kryjówce w pobliżu osady Hibhib,

osiem kilometrów na północ od Bakuby, jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Bagdadu. Przesłuchał ją sam Abu Musab az-Zarkawi. Dowódca irakijskiej Al-Kaidy. Był uprzejmy, przedstawił się z nazwiska, imienia i funkcji. Nie wydał rozkazu, by torturować kobietę. Nie było potrzeby. Kontrwywiad Al-Kaidy rozpracował Jane. Nie była żadną dziennikarką. Az-Zarkawi poinformował przez nikab zasłaniający mu twarz łamaną angielszczyzną:

– Jeśli przyznasz się, że jesteś śmierdzącym szczurem, agentem CIA, twoje ciało zostanie zwrócone rodzinie.

– Nie jestem agentką CIA.

To wystarczyło, by maczeta ścięła głowę Jamy Ulan, bo tak w istocie nazywała się Jane Rowlands. Była oficerem wywiadu amerykańskiego. Odbyło się to na tle flagi Iraku, pod którą zawieszono napis z cytatem z Koranu: „Zwalczajcie ich! Bóg ukarze ich przez wasze ręce i okryje ich wstydem; i dopomoże wam zwyciężyć ich. On uleczy piersi ludzi wierzących”.

Egzekucję zarejestrowano kamerą Sony, tą samą, która filmowała rzeź w Faludży. Następnie umieszczono film w internecie. Amen*.

2

Dziesięć dni później:

– Jak się czujesz?

Miała w ustach gorzki posmak środka odurzającego. Euforia, którą ze wszystkich sił powstrzymywała, świadczyła, że mogła to być pochodna hydromorfonu.

– A jak mam się czuć?

– Wody?

– Dzięki.

– Głodna?

– Nie. Karmicie mnie kroplówką.

Cztery pytania i dwie odpowiedzi padły w przyjaźnie zacienionym pomieszczeniu o temperaturze 69,8°F, o wilgotności powietrza 60 procent. W głośnikach szemrała kojąca muzyczka. Warunki byłyby idealne, gdyby nie to, że Jamy była przykuta do łóżka pasami, a w po-

* Opis masakry w Faludży powstał z inspiracji książką Jeremy’ego Scahill’a *Blackwater. Narodziny najpotężniejszej armii najemnej świata*, w przekładzie Piotra Pawlaczka, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2009.

mieszczeniu nie było okien. Podłużne diodowe lampy świeciły ciepłym blaskiem o temperaturze barwowej światła słonecznego. Tak czy owak zadbano nawet o podniesienie nastroju, żadnej depresji ani choćby smutku.

Mężczyzna, który się nad nią w tej chwili pochylał, miał około czterdziestu pięciu lat, siwiejące szatynowe włosy, drobną szramę na lewym policzku i niebieskie, w miarę łagodne oczy. Mówił z akcentem południowym, z lekkim zabarwieniem wschodnim. Prawdopodobnie któreś z rodziców pochodziło z Nowego Jorku. To zdradzało, że miał chyba wyższe wykształcenie, a szrama pod okiem informowała, że nie do końca korzystał z dyplomu uniwersyteckiego. Lekko zniszczona koszula khaki świadczyła, iż facet nie ukrywał, że służy w oddziale operacyjnym. Nie było wątpliwości – pracownik Langley. Przedstawił się:

– Ken.

– Powiedzmy.

Ken uśmiechnął się.

– OK, Ken, po co ta szopka?

– Dowiesz się we właściwym czasie.

– A czego mam się dowiedzieć w niewłaściwym?

Ken nic nie odpowiedział, odpiął Jamy z pasów. Uwalniając lewą rękę, na moment się zawahał. To oczywiste, wiedział, że Jamy jest leworęczna.

– Nie żyjesz, Jamy. – Wyprostował się, przybierając lekko urzędową pozę. Muzyczka nadal słodziła. – Pochowano cię w bezimiennym grobie gdzieś na Pustyni Syryjskiej.

Nic nie odpowiedziała.

– Materiał z twojej egzekucji obejrzał cały świat. Niestety, twoja matka i twoja córka także. Przykro mi.

Ona nic nie odpowiedziała.

– Odznaczono cię pośmiertnie Medalem Honoru. Rodzina będzie zabezpieczona.

Jamy o nic nie pytała, bo i tak nie otrzymałaby wiarygodnej odpowiedzi. Cisza. Tylko Mozart z ukrytych gdzieś pod sufitem głośniczków. Naprawdę można pomyśleć, że sielanka. Ken odłączył kroplówkę, wyjął wenflon z żyły razem z igłą – wiadomo, igła mogła być skutecznym środkiem ataku – odwrócił się i przystawił dłoń do czytnika linii papilarnych. Wzmocnione tytanem drzwi otworzyły się, a potem zamknęły z delikatnym trzaskiem.

W istocie. Symboliczny pogrzeb porucznik Jamy Ulan miał miejsce na cmentarzu Forest Lawn w Los Angeles. Ceremonia odbyła

się w obrządku islamskim. Na płycie napisano jedynie „Jamila Ulan. 1969–2004”. Jej trzynastoletnia córka Theresa nie rozpacziała. Matka Jasmina rozpacziała. Na pamiątkowej tablicy poświęconej poległym agentom władze Centralnej Agencji Wywiadowczej umieścili kolejną anonimową gwiazdę. Specjalna ceremonia odbyła się w dzień po pogrzebie porucznik Ulan, w głównej siedzibie CIA w Langley, w stanie Wirginia. „Nieistotne, kiedy i gdzie służyła ani czy jej nazwisko jest znane światu czy tylko nam, pozostaje źródłem inspiracji i odwagi” – powiedział niezbyt oryginalnie George J. Tenet, szef Centrali Wywiadu CIA.

Popatrz:

Ma lekko kasztanowe włosy, nieruchomą twarz, łagodnie zmarszczki wokół kącików ust, fosforyzujące błękitem oczy, w których nie ma żadnego śladu. Są przezroczyste. Można powiedzieć, że jest piękna. Trochę podobna do pewnej angielskiej aktorki. Jamy Ulan – źródło inspiracji i odwagi. Poległa na służbie. W istocie, Jamila Jamy Ulan przeżyła własną śmierć, nie zdradzając, kim jest naprawdę. A teraz miała zmartwychwstać jako zupełnie ktoś inny.

Nazajutrz:

– Nazywasz się Heda Mucurajew.

Było ich trzech. Siedzieli wzdłuż stołu, jak rada nadzorcza, skład sędziowski albo Święta Trójca. Oprócz Kena siwy siedemdziesięciolatek i krótko przystrzyżony brunet, na oko lat pięćdziesiąt z kawalkiem. On rozkazywał, choć to oczywiste, że „Siwy” był tu szefem.

– Za słabo znam czecheński.

– Wystarczy tej skromności. – „Brunet” skrzywił usta w grymasie. Mówił z akcentem z Południa.

Ken:

– Tu jest twoja legenda.

Jamy rzuciła okiem na zafoliowaną kartkę. Nie było na niej żadnej inskrypcji, znaku wodnego ani oczywiście pieczętki.

„Heda Mucurajew. Córka Kamisy i Bajasangura. Jedynaczka. Urodzona w 1969 roku we wsi Nowoartiemowo pod Groznym. Studia nauczycielskie w Moskwie. Praca w szkole podstawowej w Nowosybirsku. Podczas pierwszej wojny czecheńskiej zginął jej narzeczony, Mogamet, a ona została zgwałcona przez pięciu rosyjskich żołnierzy. Następnie – w partyzanckim oddziale Szamila Basajewa jako sanitariuszka. Druga wojna czecheńska. Zostaje przesunięta do oddziału

Chattaba, przenosi się do Dagestanu. Tam prowadzi walkę dywersyjną aż do ataku na moskiewski teatr na Dubrowce, dokąd jest oddelegowana jako szahidka. Jednak dowódca komanda, Mowsar Barajew, w ostatniej chwili wycofał ją z akcji i rozkazał przenieść się do obozu szkoleniowego Al-Kaidy w Jemenie”.

Jamy przeczytała uważnie legendę. Do dokumentu został dołączony dopisek zawierający kod weryfikacyjny konta Banku Centralnego na Kajmanach. Czteryście pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. Sporo, ale z zastrzeżeniem, że dostęp do konta Jamy będzie miała dopiero po dwudziestu latach. Czteryście pięćdziesiąt tysięcy rocznie... Nieźle jak na państwowy budżet. Ale jeśli gra jest warta świeczki, Wujek Sam sięga po nadzwyczajne, niezbyt oficjalne rezerwy. To się nazywa „środki specjalne”. Nieksięgowane dochody z różnych nefajnych źródeł. Iran-Contras, afera Armitage, przerzutowy kanał heroiny niejakiego Chun Sa. Wymieniać dalej? Cóż, cel uświęca środki. Jaka brudna gra jest warta tak drogiej świeczki?

Jamy spojrzała w okno. Potem na zegarek „Siwego”. Spytała:

– Czy mogę wiedzieć, które biuro Agencji prowadzi tę akcję?

– Skąd wiesz, że jesteśmy z Agencji? – odpowiedział za „Siwego” „Brunet”.

– Legenda jest zafoliowana według standardu. Zegarek, MIL-W-46374F-TYPE6, jest na wyposażeniu operacyjnego. Widzę na nim czwartą szesnaście. Po słońcu, które rzuca światło na wasze łby, można się zorientować, że jesteśmy na południowej półkuli. Aha, woda w umywalce spływa w prawo. Ponoć efekt Coriolisa w wypadku splukiwania kibla to bzdura, ale pozostałe dane mówią wyraźnie: jesteśmy poniżej równika. Która baza? Helderberg? Może Juticalpa? RPA? Honduras? Może inna, o której jeszcze nie mam pojęcia? Poinstrujecie mnie, panowie?

Panowie nie poinstruowali. Siedzieli nieporuszeni. W klimatyzowanym baraku unosiła się cisza. Była wyrazem uznania.

Parę dni później:

Jamy Ulan nie dowiedziała się, w której bazie jest przetrzymywana. Jej przyjaźnie zaciemnionej celi o temperaturze 69,8°F, o wilgotności powietrza 60 procent, z nudzącym już do wyrzycania Mozartem nikt nie odwiedził oprócz Kena. Na butelkach z wodą mineralną nie było żadnych nalepek, po których mogłaby się zorientować, z jakiego kraju pochodzą. Liofilizowane żarcie było tak ohydne, jak anonimowe. Zero wskazówek, nul współrzędnych. Jak w puszcze wypełnionej próżnią.

Toteż gdy w tytanowych drzwiach pojawił się Ken z informacją „musimy pogadać, Jamy”, poczuła ulgę. Jej „preceptorzy” wiedzieli, do jakiego momentu można przeciągać strunę, by nie zwarowała. Ale Jamy było daleko do tego stanu. Trzy razy dziennie stosowała ćwiczenia autogenne: wprowadzała mięśnie i naczynia krwionośne w stan odprężenia, zwalniała rytm pracy własnego organizmu, skutecznie odcinając się od dopływów bodźców z zewnątrz.

Przez cały czas obserwowano ją przez obiektyw wielkości łebka szpilki umieszczony w ścianie. Jamy oczywiście już dawno dostrzegła podgląd, ale miała to gdzieś. Nawet gdy używała prysznic i muszli klozetowej. Kamera dyskretnie i niezawodnie rejestrowała zachowanie Jamy. Koordynaty ruchowe i skurcze mięśniowe tęczówek wskazywały na ukrywany stres. Nic dziwnego, przeszła swoje i nie miała pojęcia, co ją jeszcze czeka.

– Musimy pogadać, Jamy.

Tak, to zdanie wypowiedziane przez faceta z delikatną szramą na lewym policzku, który nosił fałszywe imię „Ken”, przyniosło ulgę i pozwoliło wrócić ciśnieniu w żyłach Jamy do zadowalającego poziomu. Monitor w sali obok wskazał sto czterdzieści na dziewięćdziesiąt. Ale już zaraz miało podskoczyć.

– Jamy. Zostałaś wyznaczona na misję. Będziesz zabijać. Na razie swoich.

3

Cztery lata później:

Góry Hindukusz spowite były jaskrawą bielą. Śnieg pokrywał szczyty nawet latem. Łańcuch ciągnął się setki kilometrów w stronę północnego wschodu. Przy granicy Afganistanu z Chinami góry sięgały sześciu tysięcy metrów. Jednak w okolicach, które nas zajmują, nie przekraczały czterech i pół tysiąca. Była to ulubiona okolica CIA i Pentagonu. Zwiad donosił, że w tamtych rejonach, lub trochę dalej na południe, w Peszawarze, ukrywa się bin Laden. Zostawmy na boku kwestię, czy to była prawda czy bujda, czy złapanie szejka Al-Kaidy było na rękę Amerykanom czy wręcz przeciwnie. To nie temat na naszą opowieść o tym rejonie. Skupmy się na ukształtowaniu terenu.

Na północ od dystryktu Bar Kunar rozciąga się nieskończony labirynt dolin, jaskiń, pieczar. Idealna kryjówka nie tylko dla najbar-

dziej poszukiwanego człowieka na świecie. Śnieg pokrywa te tereny już na początku października, a w grudniu dukty stają się nie do przebrnięcia, tworząc naturalną, ogromną twierdzę. Tylko w lecie można przemieszczać się w stronę Kabulu i odwrotnie. Z czego skrzętnie korzystali talibowie ukrywający się w bezimiennych wioskach rozrzuconych w tamtej okolicy. Robili swoje, rozwalając amerykańskie oddziały, i bezpiecznie wracali do domu. Tak było i teraz.

Heda obsługiwała moździerz. W oddziale partyzanckim były dwie kobiety. Heda Mucurajew, Czeczanka, była nauczycielka, i Abir al-Rubaje, Irakijka, w cywilu pielęgniarka. Grupa generalnie składała się z międzynarodowych ochotników, a pasztuński był językiem mniejszości. Tylko dowódca, Mohammad Bashir, był rodowitym Afgańczykiem. Reszta to zbieranina. Heda dołączyła do oddziału cztery lata temu, po przeszkoleniu w obozie szkoleniowym w Jemenie. Była sunnitką. Nie tylko ten sam odłam islamu i płeć sprawiły, że dziewczyny trzymały się razem. Jedna i druga były ofiarami brutalnego gwałtu dokonanego przez najeźdźców. Heda została zgwałcona przez Rosjan, Abir przez Amerykanów. Toteż narzędzie, które razem obsługiwały, było dla nich poniekąd odpłatą za krzywdę. To banalne, ale moździerz może dać poczucie spełnionej zemsty. LM 60D kalibru 60 milimetrów, zdobyty na polskim oddziale.

Tej nocy dziewczyny i reszta grupy skutecznie ostrzelały 10. Dywizję Górską w Camp Blesing, niedaleko Pakistanu. Skutecznie. Zginęło dziesięciu Amerykanów. Heda była odpowiedzialna za transport broni, dźwigała moździerz na specjalnym nosidle, Abir i syryjski dwudziestoletni chłopak, Sami, byli odpowiedzialni za przenoszenie amunicji. Tej nocy mieli raczej łatwe zadanie. Wszystkie pociski zostały wykorzystane w ataku. Odwrót oddziału był natychmiastowy. Można było się spodziewać gwałtownego odwetu. Co prawda baza czynnych helikopterów była oddalona od Camp Blesing, zapadała już noc, ale wściekłość Amerykanów mogła przeważać nad odległością i rozsądkiem. Partyzanci szybko przemieszczali się wąskim wąwozem, który można było zaatakować tylko z powietrza. Tymczasowe obozowisko znajdowało się w granitowej jaskini, setki metrów nad doliną, przez którą biegł dukt. Gdyby rankiem pojawiła się tu piechota i wozy opancerzone, snajper z oddziału łatwo by się z nimi rozprawił.

Mohammad zakazał rozpalania ognisk. Mimo letniej pory było przenikliwie zimno. Opodal przelewał się strumień. Abir i Heda odmówiły *maghrīb* i skuliły się we wspólnym śpiworze. Robiły tak często nie tylko, by się ogrzać. Zwykle po akcji obie miały kłopoty z zaśnię-

ciem. Abir zawsze zasypiała pierwsza. Tej nocy nie mogła ani na moment zmrużyć oka. Dowódca niechętnie przyzwalał na te praktyki, ale wolał, by dziewczyny spały razem, niżby szatan skusił kogoś innego z oddziału.

Milczały. Heda czuła pod dłonią bicie serca Abir. Uderzenia pulsu ponad normę.

– Uspokój się.

– Jestem spokojna – odpowiedziała Abir drżącym głosem.

Porozumiewały się mieszaniną arabskiego i rosyjskiego.

– Przestań się oszukiwać.

Abir nic nie odpowiedziała. Odłożyła nóż, który ją uwierał przy pasku. Mocniej wtuliła się w Hedę.

– Może oni tam byli...

– Może – szepnęła Heda. – Chcesz jeszcze raz to mi opowiedzieć?

Chciała. Heda wysłuchiwała tego chyba po raz piętnasty. Abir nie mogła mieć pojęcia, że mówi do kogoś, kto znał świetnie genezę tej historii.

A zatem:

To był rewanż na Faludży za masakrę najemników z Silverspring. Pełniła wtedy dyżur pielęgniarski w izbie przyjęć w niewielkim szpitalu na południe od Starego Mostu. Strumień pędzących na sygnale samochodów zwoził rannych. Zachlapana krwią podłoga. Kobiety, dzieci trafione przez Amerykanów strzelających z ukrycia. Lament. Chłopiec nazywał się chyba Abdul Aziz albo Abdul Azim. Szkoda, że wypłynęło z pamięci. Miał przestrzeloną szyję. Umierał na jej rękach. Małeńki chłopczyk. Szklane oczy wpatrujące się w pustkę. Wymiotował przez cały czas. Odebrała dziecko matce i zmusiła kierowcę ambulansu do rajdu w stronę głównej kliniki. Cztery przecznice dalej ambulans został ostrzelany przez snajpera. Kierowca poległ. Wzięła dziecko na ręce i wybiegła na otwartą przestrzeń. Snajper dalej strzelał. Ona szła w jego kierunku. Na przekór. Wbrew jakiegokolwiek logice. Chłopiec skonał. W pewnym momencie została otoczona przez czterech marines. Zaciągnęli ją do rozbitej kafejki i tam zgwałcili. Ostatni oddał na nią moc. Dziecko leżało gdzieś w gruzach. Abdul Aziz albo Azim już jej nie obchodził.

Abir zasnęła. Jamy przywołała obraz pewnej dziewczynki o rysach typowych dla zespołu Downa. Nigdy tego nie robiła przed zaśnięciem, ale tym razem złamała zasadę. Poczula nieznośny zapach gnijącego

mięsa. A potem przed jej oczami pojawiła się twarz jej córki. Theresa o coś prosiła, błagała o życie. Koszmar.

Obudził ją jakiś zimny dotyk.

– Czas na *iszę*?

Abir trzymała nóż przy jej szyi.

– Kim jesteś?

– O co ci...?

– Mówiłaś przez sen. Po angielsku. Z czystym amerykańskim akcentem.

Jamy uśmiechnęła się, chociaż było to bez sensu. W ciemności błyszczał blado tylko komandoski nóż.

– Co mówiłam?

– Nie wiem. Z kimś rozmawiałaś, z jakąś Leilą i Theresą...

Abir nie skończyła zdania. W ciemności rozległ się głuchy trzask złamanego kręgosłupa części szyjnej. Nikt się nie obudził. Miała szczęście. Sami, który pełnił wartę, przysnął na zewnątrz jaskini. Jamy ostrożnie wywlekła ciało z pieczary i zepchnęła w przepaść.

– *Amantu bi-Allahi wa-Rasulih!*

– *A'uzu bi-Allahi min asz-szajtani ar-radżim!*

Obudziły ją krzyki Samiego i Bashira. Świt. Roztrzaskane zwłoki Abir leżały sto metrów niżej krawędzi grani.

– Nie wiem... Obudziła się... Po modlitwie... poszła oddać mocz... Nie wiem...

W tej chwili dolinę rozpruł dźwięk nadlatującego black hawk'a. Był już jakieś pół kilometra od ich obozowiska. Jankesi musieli ich wypatrzyć przez predatora. Strzały z M240 poinformowały, że partyzanci są na celowniku. Trach, trach, trach, trach. Za chwilę zostaną potraktowani pociskami raketowymi. Odpowiedzieli, ale dwa pociski granatnika RPG chybiły, przeleciały tuż nad wirnikiem. Haszim, oddziałowy snajper, czarny chłopak z Somalii, przymierzył się, ale trzy razy spuścił.

To było zrządzenie Boga. Jamy wyrwała Haszimowi karabin, przylgnęła do kolby AMR. Zobaczyła na krzyżu celownika bladą twarz młodego pilota o jasnoniebieskich oczach. Podniósł przesłonę hełmu, chyba jej na złość, żeby mogła zapamiętać to błękitne spojrzenie. Jamy szybko przeliczyła w głowie współrzędne, odległość, domniamaną prędkość helikoptera. Wstrzymała oddech, by uspokoić bicie serca, i nacisnęła delikatnie spust. Dobrze obliczyła. Dwanaście i siedem dziesiątych milimetra ołowiu uratowało podwójnie jej życie: jeszcze

chwila i nikt z oddziału nie przeżyłby ataku. Gdyby ataku nie było, zostałaaby rozstrzelana osobiście przez Bashira.

Teraz Bashir dał wiarę, że Abir sama wpadła w przepaść. Ale Jamila Ulan nie potrafiła dać wiary samej sobie. Zabiła kolejnego amerykańskiego chłopaka. Ciągłe widziała jego niebieskie oczy w celowniku. Pochodził z Tennessee, Teksasu, New Jersey? Może Chicago? Może jego starszy brat albo siostra chodzili do *high school* razem z Jamy? Teraz dostaną za jego bohaterską śmierć pięknie złożoną flagę, w której obronie Jamy musiała go zastrzelić. W imię jakich wyższych celów, do jasnej cholery, Agencja każe składać swoich chłopców na stosie?...

4

Sześć tygodni później:

Po odwetowym ataku oddział Mohammada Bashira musiał zadekować się w swojej bazie. Tak czy owak zbliżała się już jesień, nadchodziła pora śniegu i mrozu. Na ten okres dywersyjne akcje musiały być wstrzymane. Czas poświęcano na szkolenie. Baza znajdowała się w bezimiennej wiosce na terenie niedostępnego dystryktu w południowej części masywu Hindukusz. Kamuflaż bazy był bardzo przemyślny. Otóż obóz graniczył z doliną Rumbur, zamieszkaną przez Kalaszów, jedyną niemuzułmańską społeczność Afganistanu. Legenda głosiła, że są to potomkowie wojowników Aleksandra Wielkiego. Zostawmy jednak niesprawdzone bajki na boku. Od czasów gdy islam stał się dominującą religią tego terenu, Kalasze podlegali dyskryminacji i segregacji. Ale muzułmańscy szejkwowie i emirowie byli totalnie bezsilni wobec niewiernych, którzy niezłomnie bronili od wieków swojej niezależności i politeistycznej wiary. Obwarowywali się w trudno dostępnych dolinach górskich. Skutecznym środkiem równowagi militarnej i politycznej była danina, którą Kalasze od XVIII wieku opłacali pokój. Ponadto mieli szczęście. Na ich terenach zapanowała jurysdykcja tolerancyjnych *mehtarów*. Kalasze jakoś dogadali się z sąsiadującymi z nimi sunnitami i izmaelitami. Dopiero w XIX wieku zaczęli być prześladowani przez emirów z Afganistanu. Uciekli w wyższe pasma górskie. Żyli w odosobnieniu i dyskryminacji, ale ich wyuczona umiejętność trudnego współżycia z sąsiadami przerodziła się w prawdziwą sztukę przetrwania, jaką posiadają ludy skazane na życie w getcie. Ta zdolność zaowocowała i teraz. Sytuacja się odwróciła. Teraz to muzułmanie składali swoistą daninę Kalaszom. Partyzanckie oddziały Al-Kaidy stacjonowały na ich